



Powiadki murzyńskie

Hejna i księżyc

Zdarzyło się pewnego razu, że hjena znalazła kość; bierze ją i unosi w pysku.

Ponieważ wtedy księżyc świecił pięknym blaskiem, woda była przejrzysta, hjena rzuca kość, gdyż widzi księżyc w wodzie i chce go pochwycić, myśląc, że to jest kawał tłustego mięsa. Zanurza łeb ponad uszy w wodzie i nic nie znajduje. Woda się zmaciła. Hjena powraca na brzeg i stoi bez ruchu. Woda znów stała się czysta. Hjena robi skok i usiłuje pochwycić to, co widzi, myśli, że trzyma księżyc, który bierze za mięso, gdyż widzi go, jak świeci w wodzie; nie chwytą wody, cieknącej jej z pyska i znowu teraz mętnej. Hjena cofa się na brzeg.

Nadchodzi inna hjena, bierze porzuconą kość i ucieka. Wreszcie dnieje i księżyc błędnie przed światłem dziennym. Hjena się nie powiodło.

Powraca jednak nazajutrz i chodzi tam tak długo, aż miejsce, gdzie nic nie może znaleźć, staje się zupełnie rozdeptane.

Ludzie śmieją się do rozpuku z hjeny, widząc, jak wciąż wskakuje do wody, gryzie ją, jak woda cieknie jej z pyska, a

hjena wraca ciągle z nczem. I gdy wycimiewają głupiego chciwca, mówią: „Jesteś, jak hjena, co rzuciła swą kość i nie zdobyła, bo widziała księżyc w wodzie”.

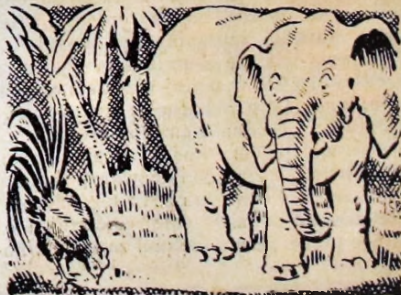
Słoń i kogut

Pewnego dnia słoń i kogut założyli się ze sobą, kto z nich okaże się większym żarłokiem. Nazajutrz o świcie obaj przeciwni y znaleźli się na upatrzonym miejscu. Około południa słoń, ze zdumieniem widzi, że kogut je wciąż. Zaczyna się paść znowu, lecz niebawem czuje, że już na dość, usuwa się więc, zostawiając swego rywala, dziobiącego zajadle w trawie.

O zachodzie słońca kogut siadł na grzbiecie słonia, który już drzemiał. Słoń budzi się, bo go drażni ustawiczne dziobanie w skórę. — Co ty tam robisz? — pyta koguta. — Nic — odpowiada kogut — zjadam owady, które znajdują na twojej skórze.

Słoń, przerażony taką żarłocznością, ucieka.

I czyni to do dziś dnia, ilekroć usłyszy pianie koguta.



Wyprawa

1)

Cichutko otworzył okno, obejrzał się raz jeszcze w mroczny pokój, słabo rozświetlony blaskiem lampy, padającym przez rozwarłe drzwi sypialni rodziców, westchnął, przeżegnał się w ciemną noc, czającej się za oknem i zeskoczył...

Założył się przecież przedwczoraj na paucie z kolegami o dwanaście stalówek, piórniki i osiem par kielbasek, że z domu ucieknie i śladem rozmaitych podróżników wybierze się w podróż piechotą naokoło świata. Zaraz rozbiła się klasa na dwie partje: jedna twierdziła, że nawet za obręb miasta nie wyjdzie, druga wraz z nim snuła projekty wyprawy, podniecając go więcej jeszcze. Ów Lechowski sprzedaje obrazy, jakiś Francuz inwalida kartki ze swoją podobizną, toć i on jakoś na życie zarobi.

Popołudniu zeszli się do niego koledzy, toczyła się gorąca dysputa, przerywana szybko, gdy w drzwiach ukazywała się niczego nie przeczuwająca mama. Naradzano się, jakie rzemiosło wybrać i wreszcie postanowiono, że będzie czyścić buty. Praca łatwa, każdemu i w każdym kraju potrzebna a przytem niewymagająca wielkiego nakładu. Urządzono zaraz składkę, jeden z kolegów przyniósł dwie stare szczotki, drugi napoczęte pudełeczko Erdału, trzeci wycinek z ogłoszeniem, stało tam przecież czarno na białem, pod murzyńską, roześmianą gębą:

W całym świecie buty czyszczą
pastą Blysk.
I nastarsze tak się błyszczą,
jak ten pysk.

Wobec tego wszelkie wątpliwości co do praktyczności zawodu puco-butą upadły.

Niewyraźnie się jednak jakoś stało Staszкови, gdy koledzy odeszli a dwie stare szczotki i pudełko pasty zdawały się mówić: — Nie możesz się już cofnąć... Nie możesz zawieść zaufania całej klasy!

A jemu właśnie zaczęła cała wyprawa przedstawiać się w mniej różowem oświetleniu, pomyślał o rodzicach i tży go zaczęły dławić... Biedna mamusia, a tatuś...

Ale wieczorem wpadł Kazik Sosin, piątoklasisista, który pod rozwartą bluzką nosił barwne krawatki i był z tego powodu przedmiotem podziwu całej czwartej, no i dlatego także, że mu się pod zadartym no-

sem puszczało coś, niby wąsy. Honor to więc był niebywały i czerwony ze wzruszenia Staszek sam nie wiedział, jak ma przyjąć tego dostojnego wysłannika piątej klasy, gdy ten wypalił:

— Słyszałem, że kolega wybiera się pieszo w podróż naokoło świata?

— Przyniosłem koledze mapę, radziliśmy nad tem, bo to, w każdym razie, przedsięwzięcie interesujące całą klasę, całą, że tak powiem, szkołę. Na mapie czerwona linja wytknęliśmy koledze drogę.

Wyjął mapę i zaczął posuwać palcem po czerwonej linji.

— Ma ogryzione paznogcie jak ja — ucieszył się w duszy Staszek.

— Prusy, Francja, Atlantyk... Ameryka Środkowa. A jak kolega chce zarobkować?

— Buty czyścić.

— Wybornie! Pomysł doskonały, wszędzie jest błoto i wszędzie ludzie buty noszą. A szczotki kolega ma?

— Mam...

— A sukno do nadania połysku?

— Nie mam...

— Głupstwo, ja koledze przyniosę, u nas jest. A tu trochę aprowizacji... Kolega rozumie? Kolega wsławia naszą, więc i szkoła chciałaby się jakoś przyczynić do rozpoczęcia wyprawy. Ode mnie ma kolega rewolwer, naboje od Władka Studenckiego, kielbasę od Romka.

Staszek był coraz więcej wzruszony. Rewolwer, wprawdzie jakiś dziwnie zardzewiały i wielki, ale zawsze rewolwer. Boże! Najpiękniejsze marzenie spełnione, no, naturalnie, jeżeli będzie miał broń, to i obawać się niema czego.

— Kiedyż kolega wyrusza?

A Staszek chce zaimponować, i chociaż go wzruszenie w gardle dusi, mruczy:

— Dzisiaj w nocy...

— Pewno, zwlekać niema co, rozniesie się i byłoby po wszystkim. Starzyby nie dali...

Pożegnali się bardzo serdecznie. W jakie pół godziny przybiegł Sosin raz jeszcze i przyniósł kawalek sukna ze starego płaszcza swojej mamy:

— Będzie kolega miał ze dwie ścierki, a czarne, to zawsze będą porządnie wyglą-

dały. A niech kolega pisze do szkoły. A prawda, tu jeszcze cukierki miętowe od Kazia i dwie bułki od Cipronki... A niech nam kolega wstydu nie zrobi!

— Wyciągnął z głębin kieszeni. mocno wymiętą chorągiewkę:

— To zrobiliśmy dla kolegi...

Obaj pociągnęli nosami ze wzruszenia, chustek, jak zawsze, nie mieli w kieszeni i rozstali się już naprawdę.

Staszek przy kolacji nie jeść nie mógł, chociaż był głodny, bo mamusia patrzyła w niego takimi zatroskanemi oczyma a tatuś dopytywał, niby szorstko, ale z niepokojem:

— Co ci jest Staszek? Zwykle masz taki doskonały apetyt, a dziś rozgrzebujesz tylko wszystko po talerzu, jak jaka kura.

— I głowę ma gorącą... — zauważyła mamusia.

— nic mi nie jest — bronił się — naprawdę, nic, mamusi!

— A przecież masz takie dziwne oczy,

— zauważył ojciec — wciąż niemi umykasz. Nic, tylko jakąś dwójkę masz na sumieniu, no przyznaj się...

— E... nie...

— Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz, mój kochany. Jak się będziesz źle uczył, to w pierwszym rzędzie sobie krzywdę uczynisz, bo po pierwsze będziesz głupszy od innych a po drugie ciężko ci będzie o chleb. Myśmy nie wieczni, im lepiej się będziesz uczył, tem łatwiej dasz sobie radę na świecie. No, nie gniewaj już po tym talerzu, bo patrzeć nie mogę. Możesz wstać, podziękować i iść do siebie.

Więc polknął z trudem kęs chleba i łyż, co mu do gardła podchodziły, pocałował ojca w rękę i mamusię i uciekł do swojego pokoju.

— Dziwny ten chłopak dzisiaj, szepnął ojciec — znajdź tam do niego jeszcze, Maryniu, i wybadaj... Wy, kobiety to zawsze potraficie wyciągnąć, co tam komu dolega.
(Daszy ciąg nastąpi)

Wojtuś i koza

Wojtuś posł pod lasem kozę. Słońce było j uż wysoko. Chciał do domu kozę gnać.

A tu koza: — Nie i nie!

Krzyczy Wojtek, za sznur ciągnie:

— Nie i nie! I ani rusz!

Na kamieniu siadł mój Wojtek i płacze.

Aż tu nagle przybiegł zajac: — Co ci, Wojtek, czego płaczesz?

Wojtek skarży się: — Przez kozę, bo do domu nie chce iść.

— Nie płacz, Wojtek, ja pomogę.

Skoczył zajac, krzyknął srogo: — Idziesz mi tu, czy nie idziesz?

Koza meczy: — Nie, nie, nie! Jeszcze mi się trawki chce!

Zajac przysiadł koło Wojki i płacze.

Wesolutka wiewióreczka w skokach cała przyleciała: — Czego płaczesz jeden z drugim? Co się stało? Co wam jest?

— Koza nie chce iść do domu.

— Nie płaczcie już, ja pomogę.

Jak nie skocz, jak nie piśnie: — Idziesz mi tu, czy nie idziesz?

Koza meczy: — Nie, nie, nie, jeszcze mi się trawki chce!

Idzie lis, macha kitą i tak pyta: — Co wam jest?

A wiewiórka skarży mu się: — Bo ta koza, ta niecnota do zagrody nie chce iść.

— E, nie płaczcie — lis się śmieje, — zobaczycie, ja pomogę!

Jak nie wrzańcie lis na kozę: — A ty kozo zatracona, idziesz zaraz, czy nie idziesz?

Koza meczy: — Nie, nie, nie, jeszcze mi się trawki chce.

Lisek usiadł koło Wojtka i płacze.

Przyleciała pszczołka złota: — Mościśwy, co się dzieje, że się wszyscy poplakali?

— Bo ta koza, ta niecnota — szłocha lisek usmarkany, — nie chce ani rusz do domu?

— Co? Do domu nie chce wracać? No, no, zaraz zobaczymy.

Leci pszczołka, tuż przy głowie brzęczy kozie: — Bzzzzzzz i bzzzzzz!

Koza meczy: — Me, me, me, nie chcę żądla, nie, nie, nie!

Jak nie bryknie, jak nie skocz i do domu gna co sił. A za kozą Wojtek pędzi i woła: — Pszczołko, dziękuję ci!

Jak Paździorek budził serca

Polem, polem, po złotych w słońcu
rżyskach,

po pustych kartofliskach
ktoś biegnie małuskiemi, bosemi nóżkami,
ktoś świeci złotemi włoskami...

Ktoś wesoly, jak szczygiel,
leciuteńki, jak puszek.

Jest to najmilszy z synków pani Jesieni:
paździornikowy duszek.

Na imię ma on Paździorek,
a zawsze skory do figlów i do psoty.

Ot i teraz na nitce babiego lata
przyfrunął aż pod wiejskie ploty
i słucha,

jak wiatr w badyłki zeschnię dmucha
i gra.

Powiada Paździorek do wietrzyka:

— Graj, wietrzyku-muzyku, graj jeszcze!

Ja, Paździorek, październikowy duszek,
nazwuję tu ostatnich jesiennych muszek,
do twojej, wietrze, muzyki

przyłączą się świerszczyki.

Zatańczymy sobie spolem
śpiewającem kołem!

Hej! póki ciepłe promyki świecą,
niech się tu na ściernisko wszyscy do
mnie zlecą!

Żywo! Żywo! Żywo!

Patrzcie! Już są muszki ze złotemi
nóżkami,
są świerszczyki i pajęczki z białemi
brzuszkami,

wszystkie służki Babiego Lata,
cała czereda skrzydlata się złata!

— Dalej! Dalej! Dalej!

Będziemy tańcowali!

— Graj, wietrzyku! Graj od ucha!

Niech calutki świat nas słucha!

Graj, wietrzyku, dylu-dylu

na skrzypeczce z tych badyłów:
Raz dwa trzy!

Zagrał wietrzyk jak się patrzy

a Paździorek przytupuje,

przytupując przyspiewuje:

— Dylu dylu na badyłu,

nie potrzeba smyczka!

Tańczcie, świerszcze, hop sa sa sa,

jak wam gra muzyczka!

Dylu dylu na badyłu,

tańczcie pajęczki,

a wy, muszki-złotonóżki,

podajcie mi rączki!

Dylu dylu na badyłu,
graj, grajku, od ucha.

w ludziach

Strach na wróble zdjął kapelusze
i muzyczki słucha.

Stara wierzba gałęziami

skocznie wymachuje.

Dylu, dylu, na badyłu!

Cały świat tańcuje.

Póki jeszcze słonko grzeje

cieplutkie i złote,

niechaj wietrzyk gra w badyłach

wszystkim na ochotę.

Kto żyw tę piosneckę słyszał,

ale wiatr przestał nagle grać!

Zasapał się, zadyszał:

— Uf! Uf! — powiada — dosyć tej muzyki,

zmęczyłem się, zbyt niki. —

Więc Paździorek zdziwiony pyta:

— Zmęczyłeś się, wiatkerku?

— Zmęczyłem i kwita.

— A ja się nie zmęczyłem, mój
wiatkerku złoty.

— He he he! Czem się miałeś zmęczyć,

kiedy żadnej nie masz ty roboty?

— Co ty, wiatkerku, co ty?

Ja nie mam roboty?

O! bardzo proszę!

Przecież to ja, Paździorek,

na rozkaz mamy Jesieni

pajęczkom kądziolki noszę,

to ja zwijam ich srebrne niteczki

w kłębuszki,

żeby miały czem cerować sobie sukienki

wszystkie Jesienne Duszki. —

A na to wiatr:

— O, wa!

To bajki, ale nie robota.

To figle są i psota. —

— Nikt mi nie zaprzeczy,

że robię i inne rzeczy.

Ja pszczółkom, jak pascienik stary,

pomagam woskiem zalepiać w ulach

szpary...

Ja ptakom radzę, którego dnia najlepiej

na wyraj lecieć...

Ja proszę słoneczka, żeby jeszcze

raczyło świecić

nad polami, dopóki ludzie nie wykopią

ziemniaków, buraków i rzepy...

Więc, jeśliś mnie nigdy nie widział.

mój wiatereku, na mojem gospodarstwie przy robocie.

to chyba jesteś — ślepy! —
— Czekajże, Paździorku kochany,
nie chciałem cię urazić wcale.
Wiem, że się krzątasz do-konale.
Zresztą wszyscy pracują w jesieni.
To taka pora roku, że nikt się nie leni.
O! powiem ci o tem,
że i tu, bliźniutko, za płotem,
popatrzo się,
zebrały się wszystkie gosposie
w barwnych kaftankach i w suchych

spódnicach:
len i konopie miedlą i trą na terlicach.

— Widzę, wiatereku!
— Hu hu! Pomyśl tylko, Paździorku,
ile to nitek będzie z tych konopi,

z tego lnu!
— Niech miedlą — cieszy się Paździorek.
— Niech przędą potem, niech tkają!
W zimie przyjdzie mróz, wciśnie się,

zły, wszędzie.
Dużo płótna, dużo ubrań wszystkim
trzeba będzie.

— A czy ty wiesz, Paździorku, że nie
wszyscy ludzie
mają dość płótna na koszule?

Nie wszyscy mają w potrzebie
co wdziać na siebie?

Byłem ja raz z moim krewniakiem
wiatrem w dużem mieście,
gdzie ulic jest ze dwieście.

Po zaulkach, po placach biegalem,
widziałem
drobne, głodne nędzarzy dzieci,

jak to trzęsie się z zimna
i nagiem ciałkiem świeci. —

Tak szeptał wiatr
a Paździorek zbladł.

— Biedne, biedne te dzieci!

Teraz jest jeszcze pogodna, ciepła jesień,
przy jej pomocy każdy biedę przetrzyma,
ale co będzie, kiedy przyjdzie zima?

Już wiem!
Cicho... cicho... na końcach paluszków,
jak to jest we zwyczaju dobrych
duszków,

pobiegnę oto do ludzi
i serca będą w nich budził.

W dzień powszedni i przy niedzieli
kto ma dla siebie dosyć, niech się
z drugim dziełi

plótnem... chlebem...: dobrem słowem,
co prosto z serca płynie.

Zaraz będzie lepiej na świecie.

Głód, nędza i smutek zginie. —

— Dobrze mówisz, Paździorku.

Tak, tak.

Widzę, że z ciebie chwata.

Leć więc do domów w mieście,
na wsi pukaj do chat,
a wśród ludzi
serce się zbudzi
i może

jeden drugiemu serdecznie pomoże.

Daj Boże! Daj Boże! —

I pośpieszył dobry duszek październikowy
przez pola, gościńce, szosy, rowy.

Na nitkach babiego lata
po całym świecie latał

i wszyscy w dzień powszedni i przy
niedzieli

w głębi własnych serc jego głos słyszeli.

To był cudowny znak.

A mówił tak:

— O ludzie dobrzy,

ludzie kochani,

kiedy surowy zbliża się czas,

trzeba pamiętać

o wszystkich braciach.

co są ubodzy pośród nas.

Niechaj od dzisiaj

każda sierota

znajdzie rodzinny dom

i serce, co ją przygarnie.

Niech każdy człowiek,

gdy nie ma pracy,

znajdzie robotę.

Podajcie sobie

wzajemnie ręce

serdecznie, szczerze,

a dola ciężka stanie się lżejsza.

Wiercie w to tak, jak ja wierzę. —

Każdemu, kto słyszał te słowa

robiło się tak tkliwie,

że oglądał się tylko skwapliwie

komuby pomóc serdecznie a zaraz.

Więc Paździorek rad,

gdy obiegił tak cały świat

maluszkami nóżkami, choć go w nie

ścieru kole,

popędził zpowrotem na pole

i nie oparł się aż w berberysowym krzaku,

na górceczce, przy wiatraku.

Tu wiatr z bratem wiatrem na wyścigi

wiatrakowe kręcił śmigła.

Mieli zboże na chleb, co go trzeba wiele

w świątek, piątek i w niedziele.

Mieli i śpiewali

a Paździorek, muszki, świerszczyki

i pajaczkę

z całych sił im wtórowali:

— Skrzyp, skrzyp, skrzyp!

Tur - tur - tur!

Będzie mąki cały wór!

Skrzyp, skrzyp, skrzyp!

Tur - tur - tur!...

E. Sz.-Zarembina

Człowiek na dnie morza

Zawód nurka, pracującego w otchłaniach morskich pod olbrzymim ciśnieniem masy wód i z narażeniem życia, nie należy do przyjemnych. Trudno jest zaufać kauczukowym węzom powietrznym i linom ratunkowym, od których trwałości los nurka zależy. Dno morskie, pełne fantastycznych i potwornych stworzeń, roślin i skał, napawa człowieka grozą, którą powiększa strach przed rekinem. Bardziej odważne „żarłaczki“, będące postrachem oceanu, których nawet odzież nurka nie odstrasza, przecinają straszliwymi zębami węże powietrzne i rozpruwają kauczukowe kaftan, gotując człowieka nieuchronną zębem.

W dobie nam współczesnej nurek posiada wszelkie udogodnienia, umożliwiający mu porozumienie się z załogą statku i podjęcie skutecznych wysiłków w razie nieszcześliwego przypadku. Aby początkujących nurków oswoić z głębinami morskimi i przyzwyczaić, by nie zwracali uwagi na przykre uczucie, jakie wzbudza opadanie na dno, wpuszczają ich w Anglii do ogromnego basenu, wypełnionego wodą morską. Następnie poddaje się nurków ćwiczeniom na pełnym morzu.

Nurkowie są obecnie bardzo dla ludzkości pożyteczni. Badają i naprawiają spody okrętów, wykonywują podwodne prace w urządzeniach portowych, zakładają kable podmorskie, pomagają przy wydobywaniu zatopionych statków i łodzi, a wreszcie zbierają egzotyczne rośliny, pokrywające biały całun piaszczystego dna morskiego. Na nieznacznych głębokościach nurkowie sami badają dno przy pomocy lamp elektrycznych. Dzięki nim otrzymane można fotografie, przedstawiające czarodziejskie wprost obrazy. Olbrzymie ciśnienie w głębszych morzach uniemożliwia pracę nurka. Według obliczeń

człowiek, któryby się mógł dostać na głębokość 3.500 metrów, byłby przygnieciony ciężarem, równającym się wadze kilkuset najcięższych lokomotyw. Przekonyującym dowodem ciśnienia w głębinach niech będzie fakt, że termometry, zaopatrzone w metalowe futerały, wyciągano z głębi zupełnie rozbite. W pewnej mierze przeciwdziała ciśnieniu ubranie nurka, wypełnione powietrzem. Uszkodzenie kostjumu lub rury, doprowadzającej powietrze, jest najczęściej równoznaczne ze zgonem nurka. Jakkolwiek może on zaalarmować załogę zapomocą urządzeń sygnałowych, to jednak wyciągnięcie go na powierzchnię zabiera zbyt wiele czasu. W czasach nowszych, odłak nurkowi zaczęto dodawać zbiornik powietrza w postaci tornistra, umieszczonego na plecach, unoszenie na powierzchnię wody odbywa się bez obcej pomocy i daleko szybciej.

Praca nurka w odmętach oceanu, wśród dzikich wodorostów, imponujących potworów królestwa ryb i zwierząt, wydzielających tajemnicze światła, posiada tak wielki urok, że nie braknie śmialców, którzy zwycięsko idą na podbój głębin morskich.

W ostatnich czasach we Włoszech z inicjatywy Mussoliniego starano się wydobyć starożytny statek z czasów Kaliguli, leżący na dnie jeziora Nemo. Według zacierpniętych z dziejów wiadomości miały one zawierać drogie kamienie i szlachetne kruszce. Niestety, jak się po spuszczeniu wody okazało, znaleziono jedynie zbutwiałe łodzie, pozbawione większej wartości. W Anglii nieraz rozmyślano o możliwości wydobywania floty hiszpańskiej, słynnej Armady, która spoczywa po dziś dzień u wybrzeży wysp brytyjskich. Te usiłowania nie byłyby do pomyślenia bez pracy nurków, ofiarujących chętnie swe usługi.

Zbigniew Zakrzewski

Czy pamiętacie, że przed 1 listopada macie nadesłać listy i fotografie dla „Małego Polaka w Niemczech“?

Zostało zaledwie parę dni!

Jak dzieci mogą pomagać rodzicom

W obecnym czasie życie na wsi jest bardzo ciężkie. Trzeba wielkiego wysiłku pracy i zaparcia się siebie, aby się utrzymać na zagonie ojców. Obowiązkiem dzieci jest dopomóc rodzicom w tych ciężkich chwilach. Tutaj niejeden z czytelników zapyta: — A cóż my możemy zrobić?

Bardzo dużo — trzeba tylko chcieć, roboty naokoło jest wiele.

Zacznijmy od obory. Dowiedzionem jest np., że porządne czyszczenie krwi przysparza codziennie do jednego litra mleka. U nas się wcale prawie krów nie czyści. Rodzice mają tak dużo roboty, że często, choćby chcieli, chwilkę wolnej na to znaleźć nie mogą. Dzieciom czasu nie brakuje i dobrze było, aby się tą sprawą zajęły. Czyszczenie powinno się odbywać codziennie. Najlepiej do tego używać szczotki, nie zgrzebla, gdyż powinno ono służyć wyłącznie do wyczyszczenia szczotki. Mocno zawałane dolne części nóg lub uda trzeba wytrzeć sianem, słomą albo miotełką z cienkich gałązek. Czyszczenie takie dosłownie trwa 10 minut dziennie, a korzyść z niego duża, bo wpływa nie tylko na większą mleczność, ale i na ogólne zdrowie zwierzęcia.

W chlewie to samo. Świnia także powinna być od czasu do czasu wymyta — rośnie i przybiera na wadze wtedy dużo lepiej. Spłóknienie koryta po każdorazowym zadaniu jedzenia jest czynnością drobną, a pożytek z tego olbrzymi, bo zapobiega się tym sposobem wielu chorobom, od których świnie nieraz masowo padają. Wymyte koryta powinno się oprzeć o ścianę gdzieś w spokojnym miejscu, aby je wiatr dobrze owiał, a słońce mogło zabić szkodliwe zarazki.

W dziale hodowli drobiu wiele pomóc mogą zwłaszcza chłopcy, sporządzając rozmaite korytka i poidelka, które są łatwe do wykonania; prócz tego przynajmniej raz na tydzień należy grzędy dokładnie oskrobać i sparzyć gorącą wodą, inaczej gnieźdzą się na nich rozmaite parasorzyty, które drobiu bardzo dokuczają i zmniejszają jego użyteczność.

Dziś, gdy brak pieniędzy na nawozy sztuczne, nawozy produkowane we własnym gospodarstwie są w podwójnej cenie. One wyłącznie muszą dostarczyć polom pokarmu, aby mogły duże zbiory wydawać. Na pierwszy plan wysuwa się sprawa

kompostów. Na pytanie, z czego można gromadzić kupy kompostowe, jedna tylko odpowiedź — ze wszystkiego: z śmieci, walających się po opótkach, z błota, w którym się grzęźnie na podwórzu nieraz po kosiki, niszcząc obuwie, z popiołu drzewnego, z drobnego chwastu, którego żywna jeść nie chce. Słowem ze wszystkiego, co się często na wsi marnuje i co sprawia, że podwórze wygląda, jak śmietnik. Wszystkie te marnujące się odpadki, zebrane na jedno miejsce, poddane przemacerowaniu i wywiezione na pole, zmieniają się na łatówki. Trzeba tylko codziennie podwórze zamieść. W ciągu roku zbierze się tego kilkanaście fur. Błoto musi być bezwarunkowo zgarnięte szufłą i również na kupie złożone. Tam również wylewać należy wszelkie mydliny i inne domowe nieczystości. Śmieci z izby też tam powinny być uprzążane.

W polu na każdym kroku roboty bez liku, że wspomnę tylko chwasty, np. oset. Wiele ono szkody narobią, dużo przysparzają bólu i mitregi przy żniwach, a wyrwane z wiosną są chętnie przez wszelki dobytek spożywane.

Wiosną po deszczu należy pilnie obchodzić pola i pleć oset, daje on się wtedy wyrwać rękami. Należy brać go trzema palcami, zanurzając je nieco do ziemi, za czub i wyciągając z korzonkiem. Oset wprawdzie odrośnie z korzeni ponownie, ale szybko rosnące zboże zacieni go i zagłuszy, osłabiając bardzo. A pokrzywę, to uprzykrzone zielsko, które tak trudno wytepić, zbierane póki młode i suszone na słońcu, stanowią w ziemie wyśmienitą i rozgrzewającą karmę dla kur, która bardzo dobrze wpływa na nieśność. Chwast ten więc może być zamieniony na jajka.

Sad i ogród aż się proszą, aby ktoś się nimi zajął. Tępienie jajek i liszek owadów, oskrobywanie mchów, porostów z pni i gałęzi, bielenie, zbieranie majowych chrabąszczy i t. d.

Mamusia w lecie ma dużo więcej roboty tak w polu, jak w podwórzu, nie zawsze ma czas zająć się ogrodem. A przeciw przy każdej chacie jest miejsce, gdzie można skopać kilka grządek i zasadzić rozmaitych warzyw, które dostarczą smacznego, a zdrowego pokarmu.

I tak: trzeba tylko chcieć — roboty naokoło tyle, że się jej nigdy nie przerobi.

Marzenna Stokowska

Miesiączek

Wierszyk ten nadesłała nam Zosia Jakowiczówna z Liepaji.

Świeci na niebie miesiączek
Pośród gwiazdeczek.
Włożył na głowę świecąca
Z chmurki czepezek.

Posrebrzył staw swoim blaskiem,
By gwiazdki jasne
Mogły obaczyć, jak w Iustrze,
Oczęta własne.

Dokoła cisza jest wielka.
Śpią w chatkach dzieci.
Miesiączek pocziwie się śmieje.
I świeci, świeci . . .

Lecz wkrótce ranek nastanie,
Bledną gwiazdeczki.
Skrył jasną głowę miesiączek
W lekkie chmureczki.

HUMOR

— Tatusiu, daj mi choć ze 20 groszy,
żebym je zawsze miał przy sobie.

— Pocóż ci?

— Bo jakby na mnie napadł zbój i krzyknął „pieniądze albo życie”, to przecież muszę mieć pieniądze, żeby mu je oddać.

— Czy bracia sjamscy mogą chodzić do szkoły?

— Oczywiście, mogą.

— A co zrobić, jeżeli jeden dostanie promocję, a drugi nie?

„Wtem wszedł baron Ludwik na głowie, miał połyskujący cylinder na nogach, błyszczące lakierki w rękę, laskę ze złotą galką w prawem oku, monokl zaśmiał się głośno i rzekł: Witam panów!”

Oj, czy przecinki w porządku?



Wioska. Prawda, że nie podobna do naszych wiosek? Spójrzcie na chatki — są okrągłe i przypominają stogi siana. No i drzewa też nie takie jak u nas, bo wioska ta leży daleko, daleko — w Afryce, a mieszkają w niej murzyni.

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze Życie”, Riga — Dzirnawu 57. „Krasnoludki”

Drukarnia „RITI”. Riga, Dzirnawu ielā Nr. 57.